№ 8 (377) WARSZAWA, 1 Sierpnia 1924 R. Należność pocztowa opłacona ryczałtem. ROK XVII

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

KONTO ZIĄZKU P.K.O. 8082 ADRES: NOWY-ŚWIAT Nr. 35. TELEFON 7-98

PRENUMERATA: roczna wynosi 6 zł., półroczna — 3 złote, kwartalna — 1,5. Za odsyłanie dolicza się po 5 groszy od numeru, rocznie 60 gr., Numer pojedynczy — 60 gr.

CENA OGŁOSZEŃ: Cała strona — 40 zł., pół — 25, ćwierć — 15, 1/8 — 8, 1/16 — 5. Pierwsza i ostatnia strona — o 50% drożej

Do Szanownych PP. Prenumeratorów.

Administracja „Łowca Polskiego" prosi uprzejmie Tych, którzy zapłacili tylko część prenumeraty za ubie łe półrocze lub jedynie za pół roku, o jaknajrychlejsze dopłacenie sumy zaległej oraz za drugie półrocze, aby nie nastąpiła przerwa w wysyłce pisma.

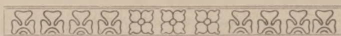
W razie nieotrzymania numeru przez tych, którzy zapłacili, należy zaraz o tem zawiadomić administrację „Łowca Polskiego", a ta zareklamuje na poczcie, gdyż jedynie z winy poczty niektóre numery nie bywają doręczane.

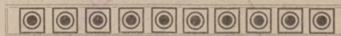
Tym, którzy wpłacili a conto prenumeraty, zostawiamy swobodę obliczenia wniesionej sumy przed stabilizacją waluty, stosownie do ich uznania. Zaznaczamy jedynie, że dochód z „Łowca Polskiego" nie idzie do kieszeni prywatnej, lecz jest przeznaczony na cele łowieckie Związku Centralnego. Wobec tego, w interesie społecznym łowiectwa leży, aby Szanowni PP. Prenumeratorzy dokonywali obrachunku z drobną ofiarnością na korzyść naszego wspólnego pisma, jakiem jest „Łowiec Polski".

Administracja „Łowca Polskiego".

№ 1-go „Łowca Polskiego" z powodu wyczerpania nakładu nie możemy nadal wysyłać pocztą.

Administracja.







Nr. 8 (377) **Warszawa, dn. 1 sierpnia 1924 r.** **Rok XVII**

ŻUBRY.



Ze zwierzyńca w Międzyrzeczu Ks. na Pszczynie.

Z Centr. Związku Polskich Stow. Łow.

Wydział Wykonawczy.

Posiedzenie lipcowe poświęcono wyłącznie sprawie przystąpienia Polskiego Związku Myśliwych w Poznaniu do Centralnego Związku.

P. Wysocki zakomunikował, że w dniu 21 czerwca 1924 r. w Poznaniu na sejmiku Polskiego Związku Myśliwych w Poznaniu zostały ostatecznie wyjaśnione wszystkie nieporozumienia i omówiono akcję wspólnej pracy nad rozwojem i podniesieniem łowiectwa polskiego.

Po uzgodnieniu i omówieniu warunków wspólnej pracy powzięto następujące uchwały:

Sejmik Polskiego Związku Myśliwych w Poznaniu pod przewodnictwem pułkownika Chłapowskiego na wniosek Wielkiego Łowczego, p. Janty-Połczyńskiego uchwalił rozwiązać Związek i zalecić wszystkim do niego należącym stowarzyszeniom zapisanie się do Centralnego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie.

Następnie wice-prezes Centralnego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie p. Antoni Wysocki prosił sejmik o wybranie do Rady kandydatów z ramienia innych stowarzyszeń miejscowych.

Na wniosek ten, sejmik wybrał na wice-prezesa p. pułkownika Chłapowskiego — prezesa Oddziału Poznańskiego, co zaś do kandydatów, jako przedstawicieli miejscowych stowarzyszeń, polecił swym stowarzyszeniom podać swoich kandydatów.

Po wysłuchaniu tej relacji, Wydział Wykonawczy uchwalił jednogłośnie kooptować do Zarządu i Wydziału Wykonawczego Centr. Związku na wice-prezesa p. pułkownika Chłapowskiego, prezesa Oddziału Poznańskiego, i na członków pp. Jantę Połczyńskiego, generała Ant. Unruga, p. Franc. Unruga i Alfreda Paruszewskiego w myśl wskazówek otrzymanych następnie od P. Związku Myśliwych.

D-r H. MALSBURG.

O lasach gminnych słów kilka.

W sprawie, o której pisać zamierzam, powinienem jako Małopolanin udać się do swojego Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie i umieścić artykuł w jego organie „Łowcu". Ale stosując się do ruskiego przysłowia: „Car daleko, Boh wysoko" wolę umieścić swój artykuł bliżej „Cara", t. j. w Warszawie, w „Łowcu Polskim", spodziewając się, że może dojdzie on szybciej do tych, którzy coś zaradzić mogą i powinni.

Mam na myśli dewastacyjną pod każdym względem gospodarkę w lasach gminnych. Czy to jest obszar kilkunastu morgowy, a więc niejako remiza wśród pól, czy obszar kilkusetmorgowy, a więc już większy kompleks i poważniejsza knieja, mają one dla myśliwych i dla gospodarstwa łowieckiego jednakową wagę i znaczenie. Na każdej choćby najmniejszej zalesionej przestrzeni, powinien ten sam spokój i ład panować, jak w lasach większych, wzorowo kultywowanych, a to tak ze względu na wartość i szybkość wzrostu drzewostanu, jak i na gospodarkę łowiecką.

Lecz kto zna lasy gminne w Małopolsce, ten wie dobrze, jak one wyglądają i jak się w nich gospodaruje.

Oto od wczesnej wiosny do późnej jesieni, służą one przedewszystkiem za pastwisko dla wszelkiego rodzaju dobytku całej gromady. Znudzeni pasztuszkowie hałasują, buszują w poszukiwaniu gniazd i rozkładają ognie tam, gdzie jest najzaciszniejsze miejsce, a więc przedewszystkiem pod gęstą świerczyną lub sośniną, a epilogiem takiego ogniska jest zupełne spalenie kilku młodych drzewek lub przynajmniej osmolenie przeważnej części ich dolnych gałęzi. Ulubionem jest również rozniecanie ognia w dziupli, sędziwego dęba, buka lub lipy, których wnętrze przemienia się w żarzący piec i powoduje wkrótce obumarcie całego drzewa. Częstokroć ogień przerzuca się na suche trawy, liście lub igliwie, a podniecany wiatrem, szerzy się błyskawicznie i wypada setki metrów nietylko traw, lecz i młodych drzew, a czasem obraca w perzynę całe połacie starszego drzewostanu. Takie i z tej przyczyny pożary zdarzają się każdej suchej wiosny lub jesieni i wyrządzają krajowi nieobliczalne szkody. A gdy już trawa i zioła na zrębach nieco podrosną, dążą do lasu gromady kobiet i dzieci z płachtami po trawę — a nieco później znowu z koszami po jagody i grzyby, co trwa tak przez całe lato. Z początkiem jesieni, już od końca września, rozpoczyna się znów procesja do lasu po suche liście lub igliwie, a gromadzenie i zwózka tychże trwa aż do zimy.

To były obrazki, że tak powiem, sezonowe. Przez cały rok jednak odzywa się huk siekiery i zbieranie

---

Dr. P. FILIPOWICZ.

Wspomnienia z brzegów Angary.

(dokończenie

Na wielkich „jamach" t. j. bardzo głębokich miejscach rzeki, mierzących kilka wiorst kwadratowych, ku jesieni jesiotry i sterlety zbierają się w wielkiej ilości i zatrzymują się na czas dłuższy t. zw. „stanem". W miejscach tych połów jest zabroniony, aż do określonego dnia. W dniu tym odbywa się „bój", t. j. masowy połów (na pierwszej jamie 25-go września). Ze wszystkich wsi, odległych nieraz o 500 i więcej wiorst, zjeżdżają się rybacy z „pieriemiotami". Na sławnej „jamie" w siole Rybnoje zbiera się na „bój" 500, 600 a nawet 700 łodzi. O świcie na dany sygnał, możliwie najciszej, wyrusza flotyla, okrąża „pieriemiotami" w kilka rzędów „jamę", poczem z wielkim hałasem łodzie wpływają do koła. Wystraszone ryby ruszają we wszystkich kierunkach i padają ofiarą przebiegłości ludzkiej. W podziale na łódź wypada po 30 i więcej pudów wspaniałych ryb, stanowiących niejada przysmak dla europejskiego smakosza.

Niezrównanie piękniejsze jest rybołówstwo z ościa. W ciemną jesienną cichą noc sunie maleńka łódeczka pchana szybko przez miejsca płytkie ręką wprawną rybaka. Na żelaznej siatce „kozie", wysuniętej przed łódką, płonie pęk smolnego łuczywa, oświetlając dno w promieniu kilku metrów. Na przodzie łodzi z ością w ręku rybak, stojąc, wypatruje ofiary. Zaszarzało niekształtne, grube cielsko — błyskawiczne uderzenie ości i wielki miętus lub szczupak olbrzym, o jakim się naszym rybakom nie śniło, błysnął srebrem w świetle łuczywa i z głuchym łoskotem, jakby jękiem ostatnim, zwalił się na dno łodzi.

O innych sposobach połowu ryb nie będę się rozwodził, bo są ogólnie znane, lub mało oryginalne.

Rybołówstwo i pracę na roli traktuje miejscowy mieszkaniec jako ciężką codzienną walkę o chleb powszedni, myślistwu oddaje się całkowicie duszą i ciałem. Tylko „promyszlonyj" (łowiec) w pojęciu Angarczyka zasługuje na miano mężczyzny. W tym słowie mieści się uznanie, szacunek i pochwała najwyższa. Nie łatwo na nie zasłużyć. „Promyszlonyj" czyta w puszczy jak w księdze otwartej; w nieprzebytych tajgach kierunku nie zmyli; przebieglejszy, cierpliwszy od wszelkiego zwierza, zwyczaje i życie każdego zna w najdrobniejszych szczegółach.

Łowiectwo w warunkach dziewiczych puszcz to zawód ciężki i niebezpieczny, lecz opłaca myśliwego obfitą i cenną zdobyczą. Krótko wyliczę przedstawicieli świata zwierzęcego i ptaków łownych Angary: niedźwiedź, łoś, renifer, kozioł syberyjski, baran, rosomak, tchórz, soból, ryś, wilk, lis, wydra, borsuk, burunduk, gronostaj, wewiórka, łaska, zając-bielak; z ptaków: głuszec, cietrzew,

„chrustu", nie chrustu, ale w każdym razie paliwa, jakiego i wiele unieść się tylko daje.

Ruch więc i życie, którego wynikiem jest dewastacja i zniszczenie, panuje w tych tak zwanych „l a s a c h" przez wszystkie pory roku. Nie można się też dziwić, że suchotniczy wygląd i marna wegetacja takich zagajników już zdaleka pozwalają widzowi rozpoznać ich gospodarzy i właścicieli. A samo przez się rozumie, że wartość i wydatność użytkowa tych lasów gminnych corocznie się zmniejsza.

A teraz co do zwierzostanu. Czy wśród powyżej opisanych warunków może wegetować i rozmnażać się zwierzyna? Czy nie unika ona tych miejsc wiecznie zwierzyna niepokojona przez pasących, krzyczących, grabiących, rąbiących po całym lesie ludzi, którym ponadto towarzyszą częstokroć „z Bożej łaski" wcale nieźle i wytrwale tropiące i goniące Brysie i Kruczki?! W lasach tych zwierzyna się nie ostoi.

Taki jest przeciętny obraz nieszczęsnego „l a s u g r o m a d z k i e g o" w Małopolsce, a może i w całej Polsce, a nie lepszy również w lasach, które z większych kompleksów dominialnych drogą parcelacji dostały się do rąk drobnych właścicieli. Tam najczęściej robi się ponadto częściowy karczunek i stawia sadybę.

Ale czy nie możnaby w czasie obecnego zagospodarowania się Państwa naszego, zagospodarować należycie i majątki gminne? Czy nie możnaby tym dewastacjom kres położyć przez wydanie odpowiednich ustaw? Czy nie możnaby rozciągnąć należytej kontroli państwowej nad lasami gminnemi? Wszak istnieją u nas oddawna okręgowi inspektorowie lasowi, a po powiatach lustratorowie majątków gminnych. Co ci panowie robią? Czy kontrolują? Czy wiedzą, co się w lasach gminnych dzieje?

A jeśli nie kontrolują, to trzeba ich do tego zmusić, ewentualnie istniejące ustawy zmienić lub nowe, odpowiedniejsze wydać.

Jeśli w dobrach i majątkach gminnych zapanuje ład, porządek i racjonalne gospodarstwo, podniesie się ich rentowność i wartość, podniesie się kultura leśna i rolna, a za niemi podniesie się i zwierzostan, który również gminie dochód większy przyniesie.

Sprawą tą powinien między innemi zająć się Wydział Centralnego Związku Stowarzyszeń Łowieckich i wszcząć odpowiednią akcję w Warszawie, i to jest cel mojej niniejszej korespondencji.

Gródek Jagielloński w kwietniu 1924.

---

jarząbek, kaczki, perkozy, nurogęsi i przelotne łabędzie, gęsi, dubelty i bekasy.

Główne źródło zasobów pieniężnych mieszkańca Angary stanowi wiewiórka i soból, podstawą dobrobytu w gospodarstwie jest łoś. Na jesieni cała ludność męska idzie na „białkowje" (polowanie na wiewiórkę), z wiosną, gdy śniegi w lasach pokryją się skorupą lodową, zwaną „nast", wyruszają zastępy wytrawnych narciarzy na pościg łosi.

Kraj kryje w swym łonie niezmierne bogactwa kopalniane. Pokładów soli, węgla, antracytu, soli glauberskiej i lasów strzegą zazdrośnie porohy angarskie i mrozy trzaskające, jedynie po złoto sięgnęła już drapieżna ręka europejczyka. Hałaśliwa czerada wtargnęła w ciche bory — gwizd maszyn, stuk drąg zgrzyta dysonansem pośród świętej puszczy. Zwierz stroni lękliwie od gwaru nieznośnego i zabobonny Tunguz przenosi swą jurtę dalej na północ, poważną milczącą w zimowe noce bez końca, spowitą w całun głębokich śniegów i mroźną mgłę, północ błękitną w poświacie księżyca, zalaną purpurą w zmiennym fantastycznym oświetleniu zorzy, to drgającą bujnym życiem lata pod ożywczemi promieniami nigdy niezachodzącego słońca.

Można pokochać te ziemie dalekie, piękne czarem nieznanym, pokochać życie wolne, w ciągłej łączności z pierwotną naturą, a pożegnawszy je na zawsze, wspominać z żalem i tęsknotą.

ST. ZABOROWSKI.

Burza w szklance wody.

c. d.

Powracając do zajmującego nas tematu, wolno więc zapytać przedewszystkiem, jakiego sportu oczekiwać możemy, polując na sarny, i porównać, czy daje go więcej obława, czy podjazd... Potem dopiero, pominąwszy osobiste upodobania poszczególnych myśliwych, co do których w myśl zasady „de gutibus non est disputandum", sporu być nie może, zastanowić się popróbujemy nad wartością zdobywanych, względnie traconych trofeów. Plastyczniej może, niż suche wywody teoretyczne, moment ten uwydatnią charakterystyczne, dwa, z życia wzięte, przykłady: b. dobrego podjazdu i b. d. obławy. Pan W., z gatunku proskrybowanych dziś obszarników, nie myśliwy, lecz miłośnik zwierzyny i pierwszorzędny hodowca, prosił mnie, żeby „zabić t r o c h ę kozłów", których jest za dużo i szkody robią w zagajnikach. Strzelałem kulami b. średnio, ale sztucer miałem dobry i do tarczy trafiałem. Wieczorem gospodarz zapowiedział, że „wozić" mnie będzie chłopiec stajenny (!) Józiek, który wie „gdzie są sarny". Na dobranoc Pani domu życzyła mi powodzenia i pytała uprzejmie, czy pijam rano i czy chcę mieć jajka na miękko albo szynkę? Stara, dobra tradycja myśliwska była w powietrzu.

Wyruszyłem wcześnie i ciemno jeszcze było na sztucer, kiedy stanęliśmy na miejscu. Nie zapuszczając się więc w las, czekaliśmy na skraju, do którego przylegał łan bujnej, nie koszonej jeszcze koniczyny.

„Jeh tu je w ty kuńczynie, ino śpiom jeszcze ścirwy". Zaznajamiał mnie z obyczajami zwierza i z knieją mój przewodnik. Epitet oznaczał pieszczotliwy żart, nie obelgę.

„Albo je to kto budzi", rozważał nie bez odcienia zazdrości. Nabiłem sztucer, założyłem lunetę i, siedząc na rowie pod lasem, jak w fotelu, czekałem. Kulami jak do grubego zwierza — na „kuniczynie". Osobliwe!

Po kwadransie może, kiedy dnieć już zaczynało wyraźnie, na siwym od rosy łanie, w rannym oparze zamajaczyły pierwsze sylwetki sarn, pięć naraz.

Józiek mówił prawdę. Stadko nie wyszło z lasu, a podniosło się wprost z koniczyny. Zanim wydobyłem lornetkę, do pierwszych pięciu przybyła koza z małem i jeszcze dwie dalej trochę. Nie upłynęło pół godziny, kiedy wschodziło słońce, na łanie w promieniu trzystu kroków, stało dwadzieścia dziewięć sarn; dwadzieścia dziewięć! Mój łowczy, z biczem w ręku, wiedział, gdzie są sarny. Stare kozły, roczniaki, kozy z małemi, młodzież: pojedyńczo, parami i w stadkach po kilka. Na sercu, doprawdy, było mi nie do strzelania! Ochotę raczej miałem szczerą: pozostawić je w spokoju „na kuniczynie", wyrazić podziw i wdzięczność gospodarzowi i — poprzestać na wspomnieniu. Fałszywa ambicja przemogła; wstyd mnie było wracać z pustemi rękami. Z miejsca więc, na którem stałem, opierając sztucer o drzewo, zabiłem trzy kozły. Pierwsze dwa w przeciągu chwili potrzebnej, aby zmienić nabój; trzeciego, kiedy zatrzymał się chwilę na brzegu lasu, nie wiedząc co się święci. Takie to było łaskawe, że po pierwszym strzale nie ruszyły i gapiły się ciekawie w stronę, skąd padł strzał.

Jeszcze głębiej utkwiła mi w pamięci scena, jaką widziałem w lesie w chwilę potem. Drożyną leśną, na zakręcie, zjechaliśmy tuż, o pięć kroków może, kozę z dwojgiem małych. Stara i bliższe koźlę przesadziły przez drogę, dalsze nie zdążyło i, wystraszone przywarowało. Czekając na nie, koza zatrzymała się tak blizko, że łatwo było osięgnąć ją czterokonnym biczem. „Pudzies zapowietrzona, jeszcze które przejadom"! strofował Józiek, śmigając batem w jej stronę. Ledwie minęliśmy całą tę rozkoszną idyllę, stara nie czekając, wróciła przez drogę i poszła szukać zguby. Ogółem zabiłem osiem kozłów same szóstaki i przed śniadaniem byłem z powrotem. Słysząc o moich tryumfach, Pani W., zaciekawiona, oświadczyła, że chce widzieć „jak odbywa się polowanie na sar-

ny" i towarzyszyć mi będzie wieczorem. Kiedy więc wyspałem się, po podwieczorku, wyruszyliśmy na łowy we czworo: Pani W., jej ośmioletnia córeczka, mój sztucer i ja. Powoził już nie chłopiec, a sam stangret w liberji, Mateusz, wolantem. Zbiorowe to polowanie udało się również dobrze. Pogoda była piękna, wiosenna, uśmierciłem trzy jeszcze stojące kozły i wróciliśmy, zachwyceni spacerem, na obiad.

Syt chwały, pełen szczerego podziwu dla niemyśliwego gospodarza, wyjechałem nazajutrz z ustalonem zdaniem, co myśleć mam o strzelaniu kozłów z podjazdu. „Trofeów" swych nie widziałem, bo zatrzymywał je gospodarz, a nie dostawiono ich na czas z leśnictwa.

Obława: Wołyń, dzika knieja, niedostępna przez większą część roku z powodu bagnisk. Trzy dni polowania, dwanaście strzelb. Rezultat: głuszec, zabity na wyraźne życzenie gospodarza przez gościa który nie strzelał przedtem do głuszca, 8 lisów, 24 dziki, 89 kozłów i 114 jarząbków (patrz rys. Nr. 7 „Łowca Polsk.").

Wyniki dowodzą, że hodowla jako taka prowadzoną była w obu przypadkach bez zarzutu. Zastanawiać się więc nad nią niema potrzeby. Pozostaje sposób zbierania plonów hodowli: polowanie. Pojmując myśliwską, sportową stronę polowania, jak określić ją probowałem wyżej, jak pojmuje je zresztą większość znanych mi myśliwych, Czytelnicy a może, może i Szan. Autor „Strzelania sarn" osadzić zechca, gdzie sportu myśliwskiego było więcej, gdzie istniały trudności, gdzie zachodziła potrzeba większej zręczności, gdzie były nęcące myśliwego nadewszystko, rozmaitość i hazardy. W pierwszym przypadku miły, urozmaicony niewątpliwie spacer i strzelanie, jak do tarczy, na 100—150 kroków do nieruchomych, na wpół domowych zwierząt, w drugim warunki wymagające wprowadzenia w grę wszystkich zalet potrzebnych myśliwemu chcącemu strzelać w kniei ptactwo i grubego zwierza równocześnie. Myśliwych i hodowców tej kategorji, nazwanych drwiąco „mężami", zapytuje p. Janta-Połczyński ze zgrozą, czem strzelali właściwie do kozłów, poczem, bez ogródek, stawia ich pod jeden pręgierz z kłusownikiem, „który też poluje dla mięsa, w każdym czasie", tej zaledwie dopatrując różnicy, że pierwsi, t. j. myśliwi „nie kradną". Czem strzelali? Ależ tak! niema sekretu! Strzelali do kozłów szrótem, kulami, zależnie od warunków spotkania, od uznania, a nawet, prawdopodobnie, zależnie od broni, jaką mieli w ręku, w danej chwili. Zapytam z kolei Szan. Autora i poproszę o wyjaśnienie, co w tem widzi zdrożnego, jaka jest słuszna, logiczna racja, po za gołosłownemi przykazaniami autorytetów i kultury oczywiście, sprzeciwiająca się strzelaniu sarn szrótem, na obławach... Czy wpływa ujemnie na zwierzostan? Cyfra zabitych kozłów świadczy, że nie.... Czy szkodzi interesom kolegów myśliwych? Nie widzę, w jaki sposób... Czy naraża zwierza na rany nie dość śmiertelne i na długie konanie... Liczba 89 kozłów, obok 24 dzików i 114 jarząbków wskazuje, że strzelano skutecznie i „czysto". Inaczej zresztą, nie pozwoliłby strzelać dbający niezawodnie o zwierzynę swą gospodarz-hodowca. Więc dlaczego? Zapytuję lojalnie i chcę być przekonanym. Nie jestem upartym, a „kulturalny i estetyczny rozwój" swój doskonalić pragnę zawsze. Wszelka doktryna, wszelki regulamin, najciaśniejszy, najgłupszy nawet, przestrzegany w koszarach, mieć musi myśl przewodnią i określony jasno cel. Inaczej staje się opartym na autorytetach lub na zwyczaju, budzącym podejrzenia, dogmatem. Wierzących zaś w dogmaty i w autorytety coraz dziś mniej. Sumienie, czy „dobry obyczaj" myśliwski nakazuje zabijać zwierza możliwie szybko i bez męki. Wszelkie inne względy rolę tu odgrywać mogą drugorzędną i pozostawione być muszą w szerokich granicach uznaniu myśliwego. Inaczej, regulamin kultury ogłosić zechce niezadługo wyłączność pewnych kalibrów kul i n-rów szrótu na poszczególne rodzaje zwierzyny. Byłyby to zresztą nowe dogmaty tylko, stworzone, aby przestrzegać ich nie pozwalała różnorodność warunków, wobec jakich stawia nas życie. Dobierając wielkość kuli lub nr. szrótu, którymi zadawać chcemy rany zabijające szybko, uwzględniać musimy należyty stosunek żywej siły, t. j. wagi i szybkości pocisku do wagi zwierza. Nakazuje to prawo fizyczne, niezależnie od wszelkich doktryn. Sama nazwa: kula i szrót nic stanowi nic. Posługiwanie się loftkami i szrótem, kiedy chodzi o dzika lub o jelenia, równie będzie karygodnem i przeciwnem „dobremu obyczajowi" jak strzelanie do sarn kulami 6 mm z Browninga, Winchestera lub Francotty, bo zarówno w pierwszym jak w drugim przypadku, pociski zbyt są lekkie i zbyt

AD. H. RZEWUSKI.

Fragmenty z czarów.. toków i ciągów tegorocznych.

(dok.)

Ten ostatni, aczkolwiek bardzo młodocianego wieku, jeszcze, lecz już posiada zadatki na myśliwego „de re et nomine" — gdyż pierwszy raz w życiu w lot strzelając, walił co wieczór po jednej słonce — z primarja pierwszego koguta też posiadł!

Fletowe tony „turdus musicus" — drozda rozlegają się z wierzchołków osin i brzóz starych — rozpościerających po błocie, uschłe swe konary — po nad jędrny i zwarty młodniak na różowo-seledynowem tle zachodu — z tragizmem rzeczy umarłych i życiem roślinnym zmęczonych bardzo!

Odzywa się nieśmiałych kilka treli... niezawodnie jednej z ostatnich nocy zleciałego do nas słowika!... śpiew błękitnopiersich podróżniczków, rudzików... tłumu całego innych ptasząt Bożych — w czeluściach ściemniałych gąszczów... podczas, gdy tam w Niebiosach ta sama porannego rozmodlenia dźwięków przeróżnych Hozanna...

Gdy tymczasem u dołu z wnętrza rdzawego bagna, tajemniczych jeziorek — istna zalewa rechotania żabek... żółwich poświstów!

Wszystko to przesiąknięte tym niezrównanym błotnym „polskim" aromatem powietrza, tego jedynego, znanego nam tylko myśliwym powietrza ogrzanego długim ciepłym dniem wiosennym, lub skwarem sierpnia na przestworzu błot i torfowisk!

Ściemnia się coraz bardziej!.. Charakterystyczny... chr! chr! pst! — i cudna „dame au long bec" — pławiąc się rozkosznie, nadciąga z po za „chojniaków" kilku i wysokiej brzozy — z pełnią kokieterji, w bok skręconą szyjką, pod siebie podebranym dziobem — prosto na moje stanowisko! Wydaje się ogromna!

Leciało to liiedactwo z dalekiej delty Nilu, od chciwości Europejczyków cudem prawie się ocaliwszy — leciała do rodzinnego Polesia starego — droższego nad wszystkie dziwa zamorskie! Nie o różach Bengalu marzyło dla łoża Hymenu! Leci obecnie ku miłości, ku tym czarom chwil szału! — upojenia z samiczką śród traw zawiędłych zeszłorocznych — aż drga, zda się cała oczekiwaniem szczęścia ogromu!

Suchy strzał bezdymny i... szmatką bez życia, spada śliczna „waldschnepfe"!

Konglomerat uczuć żalu dla nieszczęśliwego Romea, cichych wyrzutów sumienia—politowania nad Giuletta — która się już tego wybrańca nigdy nie doczeka!—z estetyką Piękna „mise en scene" wspaniałej! — zadośćuczynienie tryumfu łowieckiego, atawistycznych pierwiastków epok jaskiniowych — stwarzają to przeżycie — jedyne; nieocenioną bazę życia! — wieczornym ciągiem słonek — prozaicznie nazwanej!

Pisk przeraźliwy... widzę aż trzy uganiające się za sobą długodzioby — w gorączce flirtu słonkowego — z iście szrapnelową szybkością — nad młodym panem Queredo przemykają!

słabe, w stosunku do bryły zwierza, ażeby oczekiwać od nich można ran bezpośrednio śmiertelnych.

Tak mówi logika. Nie zrozumie za to nikt, dlaczego zdrożnem ma być strzelanie, w pewnych warunkach i odpowiednim szrótem do sarny, która od strzału takiego pada równie nagle, jak królik i bażant.

Czy każdy kozioł wreszcie trafiony kulą, zabity bywa na miejscu! Gdyby tak było, sprawa bez sporu przesądzoną byłaby a priori. Czy Szan. Autorowi jednak, nie znane są przykłady kozłów strzelanych „na miękkie" odszukiwanych, o mile całe, po dniach męczarni. Wypadki takie nie należą bynajmniej do wyjątków. Ba! Toż istnieje nawet, znany Szan. Autorowi zapewne paragraf regulaminu nakazujący postrzałkowi meczyć się naprzód czas jakiś. „Krank werden lassen". Z chwilą, kiedy zalecana kula niezawsze śmiertelna jest natychmiast, sprawa strzelania do sarn szrótem pozostaje otwartą i doprawdy, trudno się dziwić hodowcom, którzy kochają swą zwierzynę, jeżeli zabijać ją każą z bliska, na obławach, gdzie procent postrzałków, przy średnich nawet strzelbach, równa się w praktyce zeru. Przyjęta przez niektórych myśliwych zupełnie bezkrytycznie moda, czy regulamin, bo nazywać doktryny tej inaczej niepodobna, niestrzelania sarn inaczej jak stojących i kulami, importowaną została przez przysłowiowych „roznosicieli kultury" z Niemiec, gdzie sztuka strzelania kulą, wogóle była w modzie. W oczekiwaniu „wielkiego dnia", czytaj 1 sierpnia 1914 r., starać się umieć strzelać kulą, uważanem było niejako za obowiązek dobrego patrjoty i widzianem dobrze. Należało do dobrego tonu: sławić kulę, a wyśmiewać szrót. Kula była już czemś, jakby żołnierskiem, wojskowem trochę; czemś, co przydać się miało w swoim czasie. Zdumiewająco konsekwentne i równie komiczne było oburzenie, z jakiem donosiły pisma niemieckie podczas wojny, że sprzymierzeni, broniąc okopów, strzelają szrótem. Szrótem jak do zajęcy i gorzej, strzelali w kupę. Jaki brak etyki!

Manja strzelania kulą weszła automatycznie i do myślistwa, czy potrzebną tam była, czy nie. Ogłoszono, że strzelanie szrótem do sarn oznacza brak kultury i — na tem stanęło. Dlaczego? Nie wytłumaczył nigdy nikt. Nie dość! Znaleźli się i tacy nawet, którzy zawsze w imię kultury nie pozwalali strzelać do głuszca, po ciemku, inaczej jak kulą. Czytelnicy osądzą. (Dok. nast.).

JAN Hr. MORSTIN.

Myśliwy—Strzelec—Kłusownik.

(c. d.)

Pamiętajmy tylko, że uczynienie go myśliwym w ścisłem tego słowa znaczeniu w ogromnym stopniu od nas, ojców, opiekunów, braci, znajomych i doradców, zależy.

Wszak przypominamy sobie wszyscy te chwile pierwszych prób myśliwskich pod okiem jakiegoś zwierzchnika.

Z jakim entuzjazmem, z jakiem przejęciem i ufnością łowiliśmy każde jego słowo, każdą radę i uwagę. Ci ludzie to byli bohaterzy w naszych oczach. Ale oni najczęściej nie chcieli tego widzieć, traktowali nas lekceważąco i ironicznie, nie zdawali sobie sprawy, że każdy nasz nerw, każda myśl łaknie tych słów i wskazówek, że one dla nas są ciekawsze i cenniejsze nad wszystko na świecie. Ot, pokazali nam, jak się flobert nabija, zalecili ostrożność, dali do kieszeni tuzin kulek i puścili na wróble do ogrodu lub do gumna. I koniec, i nic więcej. Tylko czasem, podczas kolacji, po dużem polowaniu słyszało się opowiadania o dzikach, wilkach, jeleniach — o tych cudach wymarzonych, ale nazajutrz lekcje od rana, więc w najciekawszej chwili trzeba się pożegnać z gośćmi i iść — spać! Czar prysnął, ustępując prozie codziennego, szarego życia i nikt nie zastanowił się nad tem, że tego wieczoru, w tych nielitościwie określonych godzinach ważyła się nasza przyszłość na szali myślistwa.

Wiele również zależy od środowiska, w którem dziecko rośnie. Otoczony prawie wyłącznie strzelcami — chełpiącymi się nieustannie bądź celnością poszczególnych strzałów dubletów, trypletów, kwadrupletów i t. d., bądź rekordową ilością ubitych na danem polowaniu kuropatw lub zajęcy — młody chłopiec w tem tylko widzi urok i przyjemność, zaczyna marzyć o rekordach i o tem, by mówiono o nim, że to „dobra strzelba". Lecz gdyby w danem towarzystwie znalazł się myśliwy i odwrócił uwagę chłopca od tych hymnów samochwalczych, gdyby otworzył przed nim horyzonty szersze, wznioślejsze, mówiąc mu o miłości przyrody,

---

Serce się ściska!.. oby nie padła pierwsza — napewne samiczka! Lecz nie, dzięki Bogu! Strzał celny do ostatniej — i już niema pierwszego konkurenta na świecie szerokim! „Bravo, bravissimo"!

Aż dusza rośnie, widząc podobne zastosowanie się początkującego myśliwego do pedantycznych i nieraz nudnych rad starszych kolegów konfranterni, szeroko przed polowaniem udzielanych, szczególnie cecha ta podziwu godna u młodego południowca!

Jeszcze druga para strzałów... gaśnie pomału gra kolorów „ce mensonge des choses" — jak mówi poeta — milkną perły ptasich gardzieli... od czasu... hejnał brawurowcy — lecz jakby zawstydzony — podobnym „noctambulizmem" kosa!

Pierwsza gwiazda zapala się na przyćmionym welonie firmamentu... z litością wielka na biedną ziemię promienie swe zasyłając... później zaiskrza się ich ilość nieprzebrana!.. jeszcze raz, nad samą głową już niewidzialnej słonki chrapnięcie!... mimowoli słowa Heinego o majestacie wypoczynku wieczoru, na myśl przychodzą... podczas, gdy na sercu i duszy — tak błogo — tak świątecznie czysto i biało się robi!

A noc wiosenna, noc „primavery" z sieci swych czarów — motyli zwątpień — rój niezliczony zasyła!..

Czarnych motyli roje, spadły na białe kwiaty moje!
I nic więcej, tylko tyle, że czarne spadły motyle!

Następnie powrót do dworu Praojców w Iwacewiczach — odwiedziny gościnnych progów Pani i Pana Rewieńskich, administratora Dóbr — wieczerza wyśmienita, z iście myśliwskim apetytem spożyta i parę godzin snu... do nowej podobnej nocy tokowej!..

* *

Głuszcowych łowów rozkoszy niestety! — nie udało mi się tej wiosny — misterją podniosłą — fibrami całego jestestwa odczuć! — nerwów napięciem — magją wszechpotężną — wyśnić!

Cóż robić?!.. natomiast jestem o całe cztery lata dzięki temu młodszym — gdyż mając na rozkładzie 66 tokowych „śpiewaków" — w okresie wojennym jednak przez trzy lata byłem pozbawiony delicji podchodu w noc wiosenną królewskiego ptaka! — więc jeszcze obecnie jeden rok przybywa! z woli Opatrzności i niełaski losu!

Wiosna, bez spotkania się w mistycyźmie gotyku pni wysmukłych lasu, z trubadurem o zielonym pancerzu — jak go tak ładnie nazywa, wysoce utalentowany poeta-myśliwy dr. Zaborowski — wiosna podobnie beztitośna — skreśloną być winna z życia każdego wiernego poddanego kultu Djany!

Szkoda, że nie da się zastosować podobna chronologiczna rachunkowość — względem „d'une jolie femme"!

Dalipan! djabelnie przydałaby się, nie jednemu z kwiatów uroczych życia — jakiemi niezawodnie są piękne panie nasze!

A tymczasem do następnego roku na „głuszcy" — już napewno! — nieprawdaż?! — co daj prędzej Boże!

Warszawa, w maju 1924.

o tokach, przelotach, rykowisku, gdyby uchylił zasłonę dzielącą sport strzelecki od tego raju, jakim jest dla wybrańców głęboko pojęte myślistwo — to w ogromnej większości wypadków znalazłby godnego swych opowiadań słuchacza i ślepo oddanego mu ucznia i naśladowcę. Ale najczęściej, niestety, starszym panom nie chciało się gadać z „bąkiem", który mogąc zostać dobrym, pożytecznym myśliwym — nauczył się tylko — strzelać. W podobnych warunkach rośnie obecnie w naszych oczach młoda generacja. Przypominają się dawne lata, gdy się spojrzy na te dzieci, na chłopców w czapkach gimnazjalnych wpatrzonych z zapartym oddechem w okna składów broni.

W domu czekają z obiadem, niecierpliwią się, będzie wymyślanie, może nawet kara, ale oni nie mogą się oprzeć pokusie, by po raz setny upieścić spojrzeniem bezkurkową wybrankę lub automatyczny — cud świata! A w tornistrze uczniowskim obok podręcznika geometrji leży stary kalendarz myśliwski z rysunkami broni, z „gramatyki francuskiej" sterczą kartki wyrwane z jakiegoś opisu egzotycznych polowań. Część ich skonfiskował nauczyciel, ale reszta szczęśliwie ocalała! I ani „dwóje" za opieszałość i brak uwagi w klasie, ani represje stosowane w domu rodzicielskim nie są w stanie stłumić namiętności, która objęła już całą duszę, wypełnia niemal wszystkie myśli, sny i marzenia, królując nad niemi wszechwładnie.

A teraz przyjrzyjmy się, jak w zależności od środowiska i od wpływu tych lub innych osób może się rozwinąć ta pełna młodzieńczego entuzjazmu, piękna i zdrowa namiętność myśliwska.

Oto trzy poszczególne obrazki z natury.

c. d. n.

ALEKSANDER margr. WIELOPOLSKI.

Pogadanki o myślistwie, łowiectwie i polowaniu.

(c. d.)

ŚRODKI POMOCNICZE.

Z powyżej wyrażonych względów łatwo jest wywnioskować, że na pierwsze miejsce pośród sług św. Huberta zasługuje myśliwy-hodowca, czy, jak to się wyżej rzekło, sam gospodarz, czy jego łowczy lub strażnik łowiecki. Tę żyłkę trzeba mieć poniekąd we krwi i praktyka przechodzi z ojca na syna, ale po za nią, jak we wszystkiem istnieje i teorja, którą z literatury i czasopism czerpiemy.

Literatura łowiecka we wszystkich krajach bardzo jest bogata. Nie jest jednak moim zamiarem szerzej o niej mówić, a chcę jedynie zwrócić uwagę na te dzieła i podręczniki, które w naszych warunkach mają szczególne praktyczne znaczenie. Literatura francuska głównie się zajmuje polowaniem z psami, a myślistwo francuskie, jak i angielskie mało ma dla nas praktycznego znaczenia. Z obcych autorów najbardziej pouczającymi dla nas są Niemcy i Austrjacy. Wymienię tu nazwiska: Diezel, von Dombrowski, Oberländer. Ten ostatni szczególnie ma wartość w dziale teorji układania psów myśliwskich. Staraniem „Łowca Polskiego" cały szereg niemieckich autorów został na język polski przełożony i wydany. W pierwszym rzędzie chcę zwrócić uwagę na podręcznik Hr. Silvy-Tarouki „Hodowca a Myśliwy". W podręczniku tym nasz polski myśliwy znajdzie prawie wszystkie potrzebne wiadomości, a jeżeli je uzupełni pilnem przestudjowaniem podręcznika dla szkół leśnych i rolniczych, „Łowiectwo" Jana Sztolcmana, wydanym w Warszawie 1920, to już tylko specjalnych wiadomości będzie potem szukał w takich np. pracach, jak monografje samy zająca i kuropatwy W. Stephana[1]). Powyżej wymienione podręczniki (hr. Tarouki i Sztolcmana) mają tę wspólną cechę, że Jan Sztolcman, na równi ze mną wysoko ceniąc wiadomości, podawane przez hrabiego Taroukę, dużo ustępów z jego przytacza podręcznika. Neumeister w przekładzie polskim „Żywienie jeleni i sarn" (1902) daje nam wskazówki naukowe w tym przedmiocie, jednak praktyka w myślistwie więcej, mojem zdaniem, jest warta, aniżeli chemja; ale gardzić i tą ostatnią nie należy.

[1]) Wydawnictwa „Łowca Polskiego".

STRAŻ ŁOWIECKA.

Pierwszorzędne znaczenie w myślistwie ma straż łowiecka i każdy powtórzy za hr. Silva-Tarouką, że najdzielniejszy gospodarz bez dobrej straży łowieckiej nie może być prawdziwie panem położenia. Po za wyborem odpowiednich ludzi, powinniśmy mieć zawsze na myśli, że z jednej strony obowiązki straży są bardzo ciężkie, a z drugiej — wielkie także pokusy natury materjalnej i moralnej, na które jest wystawiona. Za najlepszych „strzelców" uchodzili Ślązacy, Morawiacy i Czesi. Obecnie trudno dostać tych ludzi, a i dawniej rzadko kiedy przybył do nas pierwszorzędny strzelec z tamtych stron, dla tej prostej przyczyny, że taki człowiek nie potrzebuje poszukiwać miejsca poza domem. Bywali ludzie, którzy z powodu zatargów z władzami, wskutek zajść z kłusownikami, lub w obawie „vendetty", skądinąd pierwszorzędni, szukali miejsca poza swoim krajem, ale to były nieliczne wyjątki. Powinniśmy się starać straż naszą z własnego rekrutować materjału. Nie przeczę, że tradycja, tak ważna w danym wypadku, pozostawia u nas wiele do życzenia, ale miałem ja sam kilku pierwszorzędnych pod względem myślistwa leśniczych domorosłych i gajowych z miejscowej ludności włościańskiej, a spotykałem takich i u innych. Znowu powołam się na przysłowie: „jaki pan, taki kram", — lub: „jaki pan, taki sługa". Może to z mej strony zarozumiałość, ale stwierdzić muszę, że na niektórych działach myślistwa znam się doskonale. Chciałbym w tem miejscu złożyć hołd długoletniemu łowczemu Spalskich łowów, panu Ignacemu Modzelewskiemu, który pierwszy hodował jelenie na wielką skalę w Królestwie Kongresowem i w szeregu lat dziesiątek stan ich podniósł znakomicie i nie wiem, czy miał równego sobie, a mimo to w kapeluszu nie nosił półłokciowego wiechcia z kozicy, ani ogona cietrzewia.

Pierwszym warunkiem, żeby straż była dobra: musi ona wiedzieć, czego się od niej wymaga, i przekonać się, że środkami, które pozostają do jej rozporządzenia, do wymaganego może dojść rezultatu. Trzeba ludzi uczyć samemu praktycznie, a także udostępnić im odpowiedni wybór podręczników.

Zazwyczaj straż łowiecka nie jest osobnym organem, ale straż leśna spełnia równocześnie obowiązki straży łowieckiej. Należy zatem poza wynagrodzeniem służby leśnej, jako takiej, dać jej materjalne korzyści z obowiązków, które się na nią pod tym względem wkłada, wymagając równoległego, sumiennego wykonywania obu obowiązków. Wynagrodzenie straży leśnej za spełnianie obowiązków straży łowieckiej nie może być stałe, ale powinno być ustanowione w formie ustalonego strzałowego i ustalonych premji, a prócz tego wielką będą zachętą nieprzewidziane dodatki za udałe wyniki polowań czy to bezpośrednio od gospodarza, czy też od jego gości. Ustalenie strzałowego przy zmiennej wartości waluty w ostatnich czasach przedstawiało trudności. Zamieniłem zatem wypłacanie strzałowego gotówką w pewnej wysokości, wypłacaniem go ładunkami w naturze, lub ich ekwiwalentem w dniu wypłaty. Za każdego zabitego szkodnika otrzymuje ten, co go zabił, dwa ładunki im więcej zabije szkodników, tem więcej będzie miał ładunków, a zatem i możność większego zarobkowania. Wolę wypłacać ekwiwalent w gotówce, bo z jednej strony straż taniej w ładunki się może zaopatrzyć, niż je

skarb jej dostarczyć może, powtóre nie jest jej bezwzględnym obowiązkiem całe strzałowe na kupno ładunków zużyć, a wolno jej zarobione z tego źródła pieniądze i na inne obrócić cele. Tak samo strzałowe winno być wypłacane w ustalonej normie za zwierzynę użyteczną, zabitą czy to przez gospodarza i jego gości, czy też przez samą straż z polecenia właściwego zwierzchnictwa. W tym wypadku powinna być również przewidziana indemnizacja za zużytą amunicję. Premje winny być stałe lub dowolne za szczególnie udałe polowania, czy to podprowadzenie do pojedynczego pięknego jelenia lub kozła, czy też za udały rozkład polowania na drobną zwierzynę [1]).

Dobra straż leśna nie jest do pomyślenia, jeżeli nie posiada sama żyłki myśliwskiej; wszelkimi zatem moralnymi i materjalnymi środkami należy wpoić w nią przekonanie, że jej żyłka myśliwska powinna się wyrażać w ambicji udałego polowania przez nią przygotowanego, nie zaś w samem polowaniu. Aby jednak i tę słuszną chętkę zaspokoić, należy starać się (co w większych ostojach prawie zawsze da się zastosować), specjalne tereny pozostawić do rozporządzenia wyłącznego straży, gdzieby leśniczowie byli nawet uprawnieni do zapraszania swoich gości, a także pozostawiając straży odstrzał łań czy kóz, w miarę potrzeby, oraz sztuk, które ze względów hodowlanych powinny być ze zwierzostanu usunięte. Do tej kategorji będzie też należało „polowanie na kuchnię". Dawanie broni myśliwskiej do rąk straży łowieckiej jest oczywiście mieczem obosiecznym, ale należy pamiętać, że sługa, któremu nie okażemy pożądanej dozy zaufania, w żadnej dziedzinie dobrym sługą nie będzie: powtóre, że straż leśno-myśliwska stale się znajduje na stopie wojennej ze złodziejami leśnymi i kłusownikami i musi mieć środki samoobrony. W czasie większych polowań, z obławą, zwłaszcza na drobną zwierzynę, gdy obowiązkiem straży jest prowadzenie naganki, nikt ze straży broni myśliwskiej nosić nie powinien. Trąbka niechaj będzie wówczas oznaką jej godności. Sumienność, uczciwość i odwaga oto cechy, których musimy poszukiwać u straży łowieckiej i nad wyrobieniem których musimy pracować sposobami wyżej wskazanymi i wszelkimi innymi, które nas do celu tego będą w stanie doprowadzić.

BROŃ I PRZYBORY MYŚLIWSKIE.

Mówiąc o środkach pomocniczych w myślistwie, nie możemy pominąć broni myśliwskiej, ale nowego o niej niewiele da się powiedzieć. Każdy myśliwy ma swoje pod względem wyboru broni upodobania, które mu pozostawić należy. Że się z bronią trzeba zachowywać ostrożnie, zabezpieczać strzelby przy przechodzeniu przez rowy i miejsca, gdzie się można potknąć, pośliznąć i przewrócić, wyjmować ładunki po ukończonym miocie i t .p. są naukami nie dla myśliwych, ale dla ludzi, którzy powinni chodzić do kina, a nie na polowanie. Czystość utrzymania broni podobnym jest aksjomatem.

Technika fabrykacji broni myśliwskiej doszła do wielkiego udoskonalenia i przez ostatnie lat dwadzieścia nie postąpiła prawie naprzód. Ulepszenia w tym okresie wprowadzone po części się nawet nie przyjęły (np. strzelby o jednym cynglu), a kogo stać na parę „Purdey'ów", Greenerów lub Hollandów, ten jest zabezpieczony na całe życie. Broń kulowa bije może aż za daleko, szczególnie, gdy będziemy mieli na względzie naganki lub strzały na równinie, a lunety umożliwiają matematycznie pewne strzały do kilkuset metrów. Tu więc nawet doświadczony i ostrożny myśliwy będzie się stale musiał mieć na baczności, by zabłąkana kula nie doleciała do niewidocznej nawet w chwili strzału, wioski.

Polując na grubego zwierza — jelenia i dzika — powinien szanujący się myśliwy mieć przy boku kordelas. Jest to poniekąd okazanie myśliwskiego poczucia poważania dla grubego zwierza, a często do dokłucia postrzałka potrzebne, nie mogę bowiem zaprzeczyć, że dostrzeliwanie a bout portant sztuki leżącej pewien wstręt we mnie wzbudza. Kordelas, pchnięty silnie za lewą łopatkę, kierowany ku przodowi natychmiastowo dokańcza zwierza. Przy polowaniu na kozły należy mieć przy sobie krótki nóż myśliwski z trójgraniastym najlepiej dokłuwaczem, by skłuć kozła w kręgi, też ku przodowi, aby dotrzeć do mózgu, a następnie „wywiatrować" i nie pożyczać do tej operacji kozika od furmana.

Wszelka przesada w stroju myśliwskim jest niepożądana, a często nawet śmieszna, ale pewne reguły co do stroju myśliwskiego i przyborów są myśliwskim zwyczajem, od którego odstępować nie należy. Analogicznie więc z przypasaniem kordelasa lub noża na sarny, nie wypada, polując kulą, nałożyć czapeczkę angielską, zwyczajem bowiem jest, że po zabiciu jelenia gospodarz lub łowczy podaje na obnażonym kordelasie myśliwemu, który zdobył piękne trofeum, gałązkę dębu, umaczaną w farbie zabitej świeżo sztuki. Taką samą gałązkę należy wetknąć w otwór wejściowy kuli.

BOLESŁAW ŚWIĘTORZECKI.

GŁUSZEC.

(Monografja)

c. d.

Na ten czas też przypada zjawisko bardzo rzadkie, a mianowicie wpadania pojedyńczych kogutów w furię, wyrażającą się w atakowaniu zwierząt i ludzi. Ze względu na autorytet autora umieszczam opis takiego wypadku. Brehm mówi: „w Szlezwiku, na przejeżdżającego w lesie drwala napadł głuszec, początkowo zaatakował konia, a gdy drwal chciał go odpędzić, rzucił się na niego, ustępując dopiero po kilku uderzeniach batem". Brehm tłómaczy to brakiem głuszyc, co przy pobudzonym popędzie płciowym może spowodować u głuszca pewien obłęd.

W dalszym ciągu po owych kilku dniach natężonego tokowania zachowanie się głuszców na tokowisku staje się stopniowo spokojniejszem .Co rano tokowiki wszystkie naraz już nie śpiewają, ptak staje się wybrednym na pogodę, zachowuje się ciszej, zrana w górę nie skacze. Natomiast wieczorne zachowanie czasem nawet potęguje się, a przedewszystkiem od tej chwili daje się słyszeć regularnie wieczorny śpiew. Z tą chwilą związane jest jeszcze inne ważne zjawisko w życiu ptaka: głuszyce odtąd nie nocują na tokowisku, a dopiero zrana o brzasku ściągają zdaleka. Myślą one już o gnieździe i przebywają w pobliżu obranego miejsca przyszłego lęgu, a gdy nieść się zaczną, pilnują go stale, przylatując na tokowisko tylko na krótko. W jakich odstępach głuszyca niesie się, zauważyć mi się nigdy nie udało. Sabaniejew twierdzi, że co rano znosi po jajku, sądząc jednak z czasu pobytu jej na tokowisku, zdawałoby się, że dzieje się to cokolwiek rzadziej.

Po skończonych tokach zrana, wyjątkowo tylko głuszce pozostają na miejscu, zwykle zaś odlatują koło 7 godziny na żerowisko. Ulubionym ich pokarmem w tym czasie jest wełnianka (Eriophorum vaginatum), roślina w naszym kraju, na mokradłach mchem pokrytych nadzwyczaj pospolita. Miejscowy lud białoruski nazywa ją „czornogołowką". Przy zmarzniętej jeszcze ziemi gdy wierzchnia warstwa tylko na parę cali odtaje, już czarne główki na białych, początkowo krótkich łodyżkach, wyglądają z kępin i z mchów. W maju roślina dorasta do 40 centymetrów wysokości, a czarna główka rozwija się i wygląda jak biały kłak waty.

[1]) Przy końcu mej pracy podam tablicę strzałowego, stosowanego u mnie.

Wojownicze usposobienie głuszców powoduje, że na pewnej przestrzeni może tokować ograniczona ich ilość. Na Północy w miejscach nietkniętych przez kulturę, gdzie nikt głuszców nie strzelał i gdzie zachowały się w stanie prawie pierwotnym, spotykałem tokowiska, liczące na 50 hektarach około 30 kogutów. Cała ta przestrzeń stanowiła z natury miejsce zupełnie odpowiednie dla tokowiska. Silniejszej obsady nie widziałem nigdy. Ze słów Menzbiera o tokowiskach we wschodnich gubernjach Rosji wnioskować można, że napotkana przezemnie ilość należy do wyjątkowo dużej. Menzbier uważa 15 głuszców za maksymalną ilość mogącą się zdarzyć na tej przestrzeni. W naszym kraju za doskonałe uchodzi takie tokowisko, gdzie śpiewa 10 głuszców na powierzchni 50 hektarów.

Pomimo jednak, że zawsze jest więcej „miejsca" niż głuszców, i u nas nawet nie można uważać za wyłączone opuszczenie tokowiska z powodu wojowniczej natury ptaka. Zdarzają się bowiem koguty w tak silnym stopniu skłonne do bójek, że inne nie mogą dotrzymać im towarzystwa i w krótkim czasie przenoszą się na inne miejsce. Pierwszy początek do powyższej wędrówki dają młode koguty. Po kilku dniach udaremnionych prób śpiewu, młody kogut oskubany i podrapany, przesiedziawszy kilka dni cicho, opuszcza tokowisko w towarzystwie miłującej go kury, za nim podążają słabe tokowiki ze swemi kurami, a za tymi w ogonie lecą wszystkie krektuny — tokowisko pustoszeje. Znam wypadek, gdy z tej przyczyny w ciągu dwóch lat z 15 tokowików ilość ich spadła do trzech. Naturalne warunki terenu były w danym wypadku ograniczone do stu hektarów.

Najczęstszym powodem zmiany tokowiska u nas bywa odrastanie lasów, na dawnych ulubionych miejscach, które ptaki z powodu wyrębu były zmuszone opuścić. Takich wypadków znam kilka. W miejscu, „gdzie był ongi sławny tok głuszcowy", na szczęście „domu nie wybudowano", usunięto tylko las. Głuszce się rozsypały. W kilku sąsiednich mszarach powstały naraz małe tokowiska. Na jednem, które znajdowało się w lasach mego ojca, wielkiego amatora tego polowania, postawiono straż wyłącznie dla ochrony głuszców. Ilość ptaków prędko zaczęła się zwiększać. Po kilku latach śpiewało ich 8, odstrzeliwano po2 — 3 na wiosnę, ilość w dalszym ciągu wzrastała jeszcze przez lat kilka, doszła do 12 i na niej się zatrzymała, pomimo że stosowano ten sam odstrzał. Tak trwało około lat 18. Przez ten czas na dawnem miejscu toków las podrósł, utworzyły się gąszcze, a mszarę, główne miejsce tokowiska, którą, jako nie przedstawiającą w owych czasach większej wartości, ominęła szczęśliwie żydowska siekiera, przykryły znów ze wszystkich stron młode zagajniki. Głuszce zadecydowały, że to już wystarcza i w ciągu jednej wiosny przeniosły się z powrotem na dawne miejsce. Pozostały na razie tylko 2 koguty, a po roku już nie było ani jednego.

Trzecią przyczyną zmiany tokowiska, pomijając niepokojenie przez ludzi, bywa nadmiar innej zwierzyny. Szczególnie powodują to dziki. Ptaki w czasie śpiewu wymagają bezwzględnego spokoju i na wszystkie obce głosy w tej właśnie chwili stają się nadzwyczaj czułe. Głuszce najwidoczniej pojmują swe chwilowe kalectwo i usłyszawszy jakikolwiek głos podejrzany, zawsze śpiew przerywają i nadsłuchują, najwidoczniej obawiając się śpiewać. Pod tym względem bywają dziki nieznośne dla głuszców. — Żerując hałaśliwie nad ranem podczas śpiewu, zmuszają ptaki do ciągłej i wytężonej uwagi, co głuszca w końcu tak zmęczy, że wynosi się z takich miejsc zupełnie.

Czas właściwego tokowania trwa około dwóch tygodni, czas śpiewu około miesiąca, wyjątkowo tylko, gdy przerw[illegible] [illegible]łuża się to do 35 dni.

Za zupełny koniec śpiewu uważać można czas rozpuszczenia się osiki.

Krektun — to głuszec przezimek, od tokowika łatwo go odróżnić. Przedewszystkiem jest znacznie mniejszy, waga jego wynosi od 3,8 do 3,5 kg (7 do 8 i pół funtów rosyjskich), ogon ma znacznie krótszy i nienabrzmiałą szyję. Wprawne oko myśliwego poznaje krektuna już w locie.

Zachowanie się krektunów na tokowisku jest osobliwe. W przeciwieństwie do tokowików, do których przylatują głuszyce, krektuny zawsze podążają za niemi i nieodstępnie im asystują. Na tokowisku zawsze są przy kurach i gdy nastąpi okres, że głuszyce nie nocują już na tokowisku, krektunów również tam niema; przylatują tam wówczas zrana, podążając za kurami w ogonie. Jeżeli niema starego koguta w pobliżu, nabiera krektun pewności siebie, rozpuszcza wachlarz i skrzydła, kręci się na gałęzi i wydaje osobliwy głos, zbliżony do krektania starego koguta, „krr-krr-krr-kr", czasem klapie, ale całej pieśni nie wydaje nigdy.

Wielu myśliwych sądzi, że w końcu okresu tokowania krektuny śpiewają; co do mnie, nie zauważyłem nigdy nic podobnego. W samym końcu toków polowałem często i dużo głuszców zabiłem, lecz wszystkie bez wyjątku były tokowikami.

Nazwa „krektun" pochodzi od wydawanego głosu, który chociaż, jak to zauważyłem, podobny do krektania starego koguta, nic nie ma z nim wspólnego.

Należy te dwa głosy dobrze rozróżniać. Nieraz krektun, gdy zacznie klapać, przykuwa do miejsca niewprawnych myśliwych, którzy, nadaremnie wyczekując śpiewu, tracą cały ranek. W danym wypadku myśliwy powinien umieć rozróżnić, jakiego głuszca ma przed sobą. Można się powodować czasem klapaniem, mianowicie krektun nie wydaje głosu, zanim dobrze nie rozednieje, klapać i krektać zaczyna dopiero wtedy, gdy głuszyce już kwokczą, a stare tokowiki „spadają" na ziemię.

c. d. n.

DR. ALFRED SANDER.

De lege ferenda.

(c. d.)

Zacznę od omówienia sprawy dzika, o tyle trudniejszej, że on występując jeszcze w Państwie naszem w dość pokaźnej ilości, ma swego przeciwnika przedewszystkiem w rolniku, a o ile chodzi o stosunki naszej dzielnicy, to dostał się on między gatunki w myśl § 49 cyt. ustawy*) na wytępienie skazane, właśnie na usilne żądanie rolników, żądanie wówczas tak ogólnie stawiane, że po zapadnięciu tego drakońskiego wyroku zagłady, przez długie lata, nawet ze sfer myśliwskich nie odezwał się żaden głos protestu. Dopiero po wojnie coraz śmielej w prasie łowieckiej zaczęto wypowiadać zdania, że przecież i dzikowi należy się pewna ochrona. Najgoręciej w obronie dzika przemówił z początkiem r. 1923 z łamów „Łowca" lwowskiego znany myśliwy i hodowca, Hieronim hr. Tarnowski z Rudnika nad Sanem, wykazując na podstawie własnych spostrzeżeń, że traktowanie dzika jedynie z punktu widzenia szkód przez niego w ziemiopłodach czynionych, jest błędnem, bywa on bowiem w pewnych warunkach zwierzęciem nawet dla rolnika bardzo użytecznym, on to bowiem w latach klęski chrabąszcza majowego zjada go masowo, a jakie szkody same chrabąszcze, a tembardziej ich pędraki wyrządzić mogą w sadach i na polach, każdemu wiadomo. Opowiedział też tam hr. Tarnowski, jak mu w latach 1915-16 uratowały dziki całą partję lasu sosnowego dotkniętego klęską owadzią, a to niebezpiecznym dla szpilkowych drzewostanów tradem sosnowcem (Lophyrus pini L.).

Pytanie zachodzi, co dla ochrony dzika i jego przyszłych pokoleń przy uchwaleniu nowej ustawy łowieckiej zrobić można? Jakkolwiek zaliczenie dzika do zwierzyny użytecznej, a tem samem obdarzenie go czasem ochronnym, nie byłoby czemś w ustawodawstwie łowieckiem niespotykanem, gdyż taki czas ochronny (od

*) § 46 ustawy poprzedniej z 4 marca 1897 Nr. 71 dz. u. p. traktował dzika łagodniej. (Przyp. autora).

początku marca do 20. 6) daje dzikowi prawo rosyjskie z r. 1892 jeszcze dziś, o ile wiem, na Kresach Polski obowiązujące, to jednak jest wątpliwem, czy podobne temu postanowienie w Sejmie naszym przeprowadzić można, a nawet sądzę, że przeprowadzenie takiego postanowienia nie byłoby wskazanem. Wychodzę bowiem z zasady, że wszelka, raz uchwalona ustawa powinna być przestrzegana, jej przestrzeganie bezwzględnie żądane, a w razie potrzeby posłuch dla niej przez organa władzy wymuszony. Nie należy zatem w ustawach zamieszczać takich postanowień, o których z góry trzebaby sobie powiedzieć, że będą łamane w warunkach, w których mimo zakazu ustawy, ze stanowiska czysto ludzkiego tego ich złamania potępić nie będzie można. Trudno zaś byłoby żądać od rolnika, by się powstrzymał od możliwego ubicia dzika, którego na polu blizko lasu położonem zastanie wybierającego mu jedną po drugiej zasadzone kartofle, dlatego tylko, że to się dzieje w maju, zatem w czasie ewentualnie dla ochrony dzika przeznaczonym.

Według mego zdania dla zachowania dzikiego rodu byłoby zupełnie wystarczającem zaliczyć dzika czy to do zwierzyny obojętnej, czy może nawet szkodliwej, ale pod tym warunkiem, by na uprawnionych do polowania nie wkładano legalnego obowiązku tepienia go o każdej porze, płenność bowiem dzika i jego roztropność umożliwią wtedy myśliwym przez długie jeszcze lata utrzymanie go w przyzwoitej ilości, jako ozdobę naszych kniei. Dopiero bowiem po usunięciu legalnego przymusu tępienia dzika będą mogły zostać wprowadzonemi w czyn owe propozycje Hieronima hr. Tarnowskiego, o których wyżej wspomniałem, a do których właśnie obecnie wracam.

Wspomniany wyżej artykuł hr. Tarnowskiego zamieszczony w Nr. 1/23 „Łowca", doznał wówczas wskutek nieporozumienia pewnego obcięcia, a to w swej najważniejszej, bo owe konkretne konkluzje zawierającej części. Z udzielonego mi ze strony Szanownego Autora jeszcze w lutym r. 1923 upoważnienia naprawienia tej amputacji w sposób, jaki bede uważał za odpowiedni, korzystam obecnie, przyczem miło mi jest móc stwierdzić, że sprawa od owej dłuższej zwłoki może jeszcze nie wiele ucierpiawszy, zyskuje obecnie to, że przez reaktywowany w międzyczasie „Łowiec Polski" dostaje się odrazu przed forum i do wiadomości myśliwych całej Polski.

Propozycje, z jakimi Hieronim hr. Tarnowski wówczas wystąpił, cytuję tu dosłownie:

„Pozwalam sobie zaproponować, by Małopolskie Towarzystwo Łowieckie, a może i Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich zażądały od swych członków pisemnej deklaracji, że:

1) nie będą nigdy strzelać do pierwszej sztuki w stadzie, (jak wiadomo pierwsza idzie prawie zawsze maciora),

2) że od 15 lutego ze względu na spokój konieczny dla prośnych macior nie będę polował na dziki.

3) że po oproszeniu się macior do końca sierpnia ze względu na odchowanie warchlaków nie będę strzelał do spotkanych stad,

4) nadto członkowie, właściciele lasów, w których są stałe dziki, zobowiążą się oznaczyć pewien etat odstrzału w stosunku do ilości stałych dzików (np. jedną trzecią część) i nie przekraczać go — podobnie jak każdy hodowca zwierzyny reguluje etat odstrzału jeleni, rogaczy i innej zwierzyny

Przeciw opornym, łamiącym takie zobowiązania, powinna wystąpić publiczna opinja myśliwska i byłoby obowiązkiem delegatów (odnosi się to do stosunków naszych w Małopolsce) zawiadamiać Prezydium M. T. Ł. o wykroczeniach przeciw tym punktom, tak ze strony członków, jak i nieczłonków Towarzystwa. Prezydium zaś, o ile przestępca byłby członkiem M. T. Ł., wykluczyłoby go z Towarzystwa, nazwisko zaś każdego przestępcy byłoby ogłoszone w „Łowcu", z wezwaniem do wszystkich myśliwych, by względem winnego stosowali bojkot myśliwsko-towarzyski".

Otrzymawszy takie propozycje Wydział M. T. Ł. jakkolwiek jednomyślnie uznał, że propozycje hr. Tarnowskiego ze wszech miar zasługują na ich najszersze w kołach myśliwskich propagowanie, znalazł się jednak, wobec brzmienia § 49 ustawy łowieckiej w ciężkiej sytuacji. Nie było możliwem podjąć oficjalnej lub nawet półoficjalnej akcji (hr. Tarnowski w następnym liście proponował swoją własną inicjatywę i publiczne ogłaszanie w „Łowcu" deklaracji tych myśliwych, którzyby się do przestrzegania jego wniosków zobowiązali) skoro cytowany przepis ustawy żąda od uprawnionych do polowania czegoś wprost przeciwnego, bo tępienia dzików o każdej porze.

Te właśnie wątpliwości podniesione na Wydziale stały się powodem, że propozycje hr. Tarnowskiego nie dostały się wtedy na łamy „Łowca" lwowskego, co nie powinno było się stać, gdyż odrębną od akcji Wydziału, jest swoboda głosu w prasie łowieckiej, potrzebna zawsze a wskazana tembardziej w czasach obecnych, gdy projektowaną jest nowa ustawa łowiecka.

(C. d. n.)

Wykaz zwierzyny łownej i szkodników zabitych na terenach Poleskiego Towarzystwa Myśliwskiego

Wyszczególnienie polowań: Toki i ciągi — kwiecień. Strzelb 25. Głuszców spłoszono 7. strzelano 25. Michalin — głuszców wzięto 11, jarząbka 1, cietrzewi 4, słonek 41, kaczkę 1, razem wzięto sztuk 58. — Kartuzka Bereza — wzięto głuszców 3, jarząbków 2, słonek 1, różnych 2, razem 8 szt. — Różany — wzięto głuszca 1, słonek 7, razem 8 szt. Kuty, Lubiszczyce — wydrę 1, głuszców 5, cietrzewi 9, słonek 17, kaczek 2, orłów 3, razem 36 sztuk. Z wyżłem — 17. 7 do 22. 8. Strzelb 9 — jarząbka 1, cietrzewi 67, słonek 2, kszyków 99, dubeltów 174, kaczek 59, różnych 14, razem 416 sztuk. Uwaga: Chłodno.

Z obławą i gończemi: Jundziłłowicze: 17, 18, 19, grudnia 1923. Strzelb 11. Strzelono i wzięto dzików 5, strzelono wilków 4, wzięto 2, rogacza 1, zające 2, razem 10 sztuk. Michalin — 19. 1. 24 r. Strzelb 1. Strzelono i wzięto dzików 2, razem 2 szt. Mróz, ponowa sypki śnieg. — Wiado-Tupice: 28, 29, 30, 31 stycznia 1924 r. Strzelb 10. Strzelano dzików 27, wzięto 12, rysia 1, zajęcy 3, razem wzięto 16 szt. Lisowskie nadleśn: 11. 12. 13 lutego 1924 r. Strzelb 10. Strzelono dzików 18, wzięto 7, strzelono i wzięto 1 wilka, lisa 1, rogaczy 2, jarząbków 2, razem wzięto 13 sztuk.

Wola Obromska: 28 lutego 1924 r. Strzelb 1. Strzelono i wzięto dzików 3, razem 3 szt. Straż łowiecka na całym terenie przez rok. Strzelono i wzięto 5 wilków, lisów 6, kun 12, jastrzębi 76, różnych 36, razem wzięto 135 sztuk. Uwagi: mrozy, wielkie śniegi.

Razem rok 1923/24. Strzelano dzików 55, wzięto 29, rysia 1, strzelano wilków 10, wzięto 8, lisów 7, kun 12, wydrę 1, rogaczy 3, zajęcy 5, spłoszono głuszców 7, strzelono 25, wzięto 20, jarząbków 6, cietrzewi 80, słonek 68, kszyków 99, dubeltów 174, kaczek 62, orłów 3, jastrzębi 76, różnych 52, razem wzięto 705 sztuk.

Rok 1922/23. Wzięto dzików 13, rysia 1, wilków wzięto 4, lisy 4, kun 4, wydry 2, tchórza 1, rogaczy 8, zajęcy 4, głuszców wzięto 13, jarząbków 16, cietrzewi 29, słonek 58, kszyków 2, dubeltów 28, kaczek 42, orłów 2, jastrzębi 14, różnych 3, razem wzięto sztuk 248.

Rok 1921/22. Wzięto dzików 20, lisy 2, rogaczy 8, zajęcy 15, wzięto głuszców 6, jarząbków 10, cietrzewi 8, słonek 26, kszyka 1, kaczek 6, jastrzębia 1, różnych 3, razem wzięto sztuk 106.

Ogółem dzików wzięto 62, rysie 2, wilków wzięto 12, lisy 13, kun 16, wydry 3, tchórza 1, rogaczy 19, zajęcy 24, wzięto głuszców 39, jarząbków 32, cietrzewi 117, słonek 152, kszyków 102, dubeltów 202, kaczek 110, orłów 5, jastrzębi 91, różnych 58, razem wzięto 1059 sztuk. Uwagi: W zimowych polowaniach w roku 1923/24 brało udział 26 członków i 4 gości.

Rysia zabił Hieronim ks. Lubomirski we Wiado-Tupicach w kw. 78-ym.

Do jelenia — grubej sztuki strzelało w Kosowskiej Puszczy w kw. 55-ym p. Tadeusz Mostowski, jeleń z początku mocno farbował, przeszedł jednak przez 3 kwartały i farbować przestał.

Wydrę zabił p. S. Kasinowski, stojąc na ciągu nad rzeką Hrywda.

W Jundziłłowiczach (okr. Blizne) wzięto z wnyka żywą kozę.

Z wyżłem polowano na terenach: Koziki, Lubiszczyce, Holenczyce, Michalin, Sieleckie błota, Dziady, Jaglewicze, Jabłonka, Łosina.

W kategorji „Różne" zabite przez straż łowiecką: 24 psy, 11 kotów, 1 puhacza.

Notujemy znaczny przyrost łosi, których po 5-cio letniej ochronie dochowaliśmy się w przybliżeniu do 40 sztuk.

WALENTY WŁODZIMIERZ GARCZYŃSKI

WIATR I ODWIATR.

Temat ten poruszył na łamach „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego" p. Wiesław Szczerbiec-Szczerbiński. Ponieważ Szanowny Autor w artykule swoim p. t. „Wiatr i wietrznik" więcej stawia pytań, niż daje odpowiedzi i zaprasza do wypowiadania się na poruszony temat, ośmielam się podzielić z czytelnikami „Łowca Polskiego" mymi poglądami w tej sprawie.

Odwiatrem, mojem zdaniem, są lotne bądź rozkładające się na ciała lotne i poznawane przez wydzielany zapach produkty procesów fizjologicznych zwierzyny.

Ponieważ procesy fizjologiczne w organizmie zwierzyny odbywają się nieustannie (oddychanie, wydzielanie potu, trawienie i t. p.) więc i odwiatr nieprzerwaną smugą ściele się na tropie zwierzyny, niedostrzegalny dla oka, uchwytny jednak przez delikatne powonienie psa. Z momentem śmierci zwierzyny i ustawaniem funkcji życiowych, ustaje również stopniowo wydzielanie się odwiatru, ustępując miejsca wydzielaniu się produktów rozkładu. Odwiatr lecącego ptactwa rozprasza się, jak należy sądzić w powietrzu, w sposób nie dający możności, w większości wypadków, przecięcia go przez psa. Odwiatr nurtującej zwierzyny, jak to można wywnioskować i jak to potwierdza doświadczenie, spływa na powierzchnię wody i układa się równolegle do jej podwodnej drogi. Doświadczone psy doskonale potrafią go wyzyskać i nie dają się zbić z tropu nurkowaniem. Gdyby odwiatr zwierzyny można było zabarwić, to pole, po którem pójdziemy, przedstawiałoby się jako pokreślone smugami ciągnącego się za nią odwiatru, zupełnie tak samo jak zimową porą po śniegu widzimy je pokreślone śladami jej nóg. Różnica polega tylko na tem, że ślady na śniegu trwają dłużej, gdy odwiatr po pewnym czasie rozpływa się w [illegible] powietrzu (stygnie). Całkowite wystygnięcie odwiatru następuje najdalej po paru godzinach, w większości wypadków znacznie wcześniej; rodzaj gleby, na którą odwiatr się kładzie, pora roku, temperatura i warunki atmosferyczne mają bardzo znaczny wpływ na czas trwania tego procesu. Wiatr zmienia wąskie pierwiastkowe linje, które przy spokojnym stanie powietrza układa się odwiatr na mniej lub więcej szerokie smugi.

Ten pogląd na odwiatr zwierzyny, jest punktem wyjścia do zrozumienia, czem jest wiatr u psa i na czem polega szukanie z wyżłem. Wiatr wyżła jest bezpośrednim przejmowaniem cząsteczek odwiatru zwierzyny przez organa powonienia psa. Odbywa się przy tem proces nie tylko fizyczny, ale również i myślowy, polegający na ocenie jakości przejętego odwiatru. Objaśnia nam to ogromną rolę, jaką w wietrzeniu psa odgrywa doświadczenie. Pies bardzo często nie wystawia bynajmniej nie dlatego, że nie zawietrzył. Postępuje tak, bo uważa, że dany rodzaj zwierzyny, odwiatr której przejął, nie należy do tej, która należy wystawiać. Znałem psy, używane wyłącznie w suchem polu, które zupełnie „ignorowały" błotną zwierzynę. Gdy spostrzegły jednak, że się do niej strzela, wystawiały ją po niedługim czasie również dobrze, jak kuropatwy. Mam przekonanie, że, aby pewnie wystawiać, musi się pies poznać z każdym rodzajem zwierzyny, na który jest używany. W ten sposób szukanie wyżła jest szukaniem tropów poznawanych po leżącym na nich odwiatrze. To czyni dla nas zrozumiałym szereg obserwowanych przy tem faktów oraz ustanowionych na ich podstawie reguł myśliwskich. Weźmy naprzykład znane wymaganie szukania poprzecznego (przekładania). Przy tym systemie pies ma, w dodatku przy pomocy wiatru, możność przecięcia wszystkich tropów znajdujących się na opolowanym terenie. Albo weźmy znaną myśliwską regułę, że polowania z wyżłem należy zaniechać podczas skwarnego południa. To znowu tłomaczy się tem, że w tym czasie zwierzyna siedzi w ukryciu i że dla szukającego wyżła, pomijając kwestję gorąca i zmęczenia, stanowi kapitalną różnicę, czy zwierzyna jest w ruchu, czy też nie, i czy szuka po polu pokrytem długiemi smugami odwiatru żerującej zwierzyny, czy rzadkiemi punktami, w których ta znajduje się ukryta, nie dając wcale, albo bardzo mało odwiatru. Tłumaczy to również ogromne znaczenie, jakie sprawa wiatru dla szukającego psa. Jeśli już okoliczność, czy zwierzyna znajduje się w ruchu, czy też siedzi ukryta, ma, jak widzieliśmy duże znaczenie, to fakt, że wiatr na pewną odległość od śladu niesie odwiatr, na szukanie pod wiatr szukającego psa, znakomicie ze swej strony ułatwia szukanie. Natomiast ogromnie utrudnia je jeśli wręcz nie uniemożliwia brak śladu i brak wiatru. W tym wypadku pies nie może przejąć odwiatru leżącego spokojnie dookoła ukrytej zwierzyny. To też biegnący z wiatrem pies musi wprost przeciąć ślad, aby przyjąć odwiatr, a spadłego z góry, martwego ptaka, wszystkie psy znajdują z wielkim trudem i niejednokrotnie nawet przeskakują. Trudno jest również odnaleźć psom ptactwo, mające zwyczaj siedzieć nieruchomie przez dłuższy czas po zapadnięciu, (pardwy, kuropatwy, kamionki, fickuzy), co podnosi już Taczanowski; z tegoż wreszcie powodu nietylko psom ale i lisom i innym czworonożnym szkodnikom tak trudno znaleźć wysiadujące ptactwo. Natomiast nie trudno zrozumieć, dlaczego pies trzymając nawet w pysku zabitego ptaka, może równocześnie zawietrzyć drugiego, choćby tego samego gatunku. Zabity ptak, jak wspomniano wyżej, przestaje wydawać odwiatr, natomiast świeży odwiatr nowego ptaka, przyniesiony ze strony, zostaje przejmowany odrazu. Wietrzenie kilku naraz sztuk zwierzyny wydaje się nie przedstawiać dla psa większych trudności, niż obserwowanie równoczesne kilku tropów. Wietrzenie takie dla inteligentnego i doświadczonego psa, uważam raczej za efektowne, niż trudne.

O możności znalezienia zwierzyny za pomocą jej odwiatru wiedzą nietylko jej prześladowcy, lecz wie i ona sama. To też ucieka się ona do szeregu sposobów, aby tylko przerwać ciągnącą się za nią zdradziecką smugę odwiatru, odgrywającą rolę nitki Arjadny dla prześladujących ją wrogów. Dążeniem uniemożliwienia wyzyskania jej odwiatru tłomaczy się wiele zwyczajów zwierzyny. Kuny, na który jest używany. W ten sposób szukanie wy-

ropatwy po ukończonem żerowaniu wieczornem nie udają się na nocleg piechotą, a zrywają się, i, zapadłszy w obranem miejscu, odrazu przysiadają do ziemi. Rozbite stado młodych kuropatw (i wogóle wszystkich kurowatych ptaków) po zapadnięciu pozostaje bez ruchu dłuższy czas, stwarzając tem niełatwe zadanie ich odszukanie. Cietrzewie zimową porą spadają jak kamienie z drzew na miejsce obrane dla noclegu i natychmiast zakopują się w śnieg. Zając nie położy się inaczej, jak naklluczywszy przedtem i dając wprost do kotliny ogromnego susa w bok od tropu. Zbarczona kurapatwa, ciekniąc bruzdą, w pełnym biegu skacze w bok o parę redlin, aby tym sposobem zmylić goniącego ją wyżła. Należy przytem zwrócić uwagę, że przy skokach oddech zostaje wstrzymany i wiatr ze zwierzyny nie opada, względnie zostaje wydzielany w mniejszej ilości i prędzej się rozprasza, co usprawiedliwia wspomnianą taktykę. Przykładów takich możnaby przytoczyć bardzo dużo.

Nie wyczerpałbym poruszonegotematu, gdybym w końcu nie postarał się wytłumaczyć jeszcze, dlaczego pies, posiłkując się odwiatrem zwierzyny, nie myli się co do kierunku i nie idzie np. pod trop. Należy sądzić, że odwiatr w kierunku, w którym udała się zwierzyna, zyskuje na intensywności i że to jest dla psa wskazówką. Ponadto musi się odwiatr układać w pewien specyficzny sposób na tropie w kierunku ruchu zwierzyny, dając możność łatwego jego określenia, jak to ma miejsce np. ze śladami po rosie. Tak przynajmniej objaśnia to zjawisko Oberlaender. Orjentowanie się co do kierunku tropu, nie stwarza dla psa specjalnych trudności, w każdym razie wymaga od niego pewnego doświadczenia i dobrego wiatru i głupie i o słabym wietrze psy szukają często pod trop.

Zawody strzeleckie na Olimpjadzie francuskiej.

Rozpoczęły się one d. 23 czerwca w Reims. Jako pierwszy punkt programu odbyło się strzelanie indywidualne z karabinów małokalibrowych, cal. *22*. Na kilka dni przedtem, bo d. 19-go, rozpoczęły się 19-e z rzędu, doroczne, międzynarodowe zawody strzeleckie Francji i dlatego przeważna część zawodników przybyłych na Olimpjadę, mogła przedtem w nich wziąć udział.

Drużyna polska przybyła nieco później, tak, że zdążyła jeszcze stanąć do zawodów w strzelaniu z pistoletów i do międzynarodowego strzelania z wojennej broni francuskiej typu Lebella.

Wynik pierwszego dnia zawodów olimpijskich, karabinki kal. 22, odległość 50 m. indywidualnie, jest następujący: 1) Coquelin de Lisle, Francja, 398 p. na 400 osiągalnych serje 100, 99, 100, 99; 2) Diwiddie, Ameryka, 396 p.; 3) Hartman, Szwajcarja, 394 p.; 4) Theslof, Finlandja, 393 p.; 5) Knutson, Szwecja, 392 p.; 6) Reich, Szwajcarja, 392 p.; 7) Van Asbrock, Belgja, 391 p. i t. d. Zwycięzca Coquelin de Lisle jest członkiem Tow. strzeleckiego w Paryżu; amerykanin Diwiddie liczy 17 lat.

Polscy zawodnicy, jakkolwiek zgłoszeni, zrezygnowali z udziału, widząc, że broń, przez nich przywieziona i nieznajomość pomocniczych środków technicznych, przy strzelaniu ogólnie przez strzelców zwycięskich państw używana, pozbawiają ich wszelkich poważniejszych szans. Udział swój ograniczyła drużyna nasza do strzelania z broni dowolnej na 300, 600 i 800 metrów i z pistoletów automatycznych, a w strzelaniu myśliwskiem do biegnącego jelenia.

Strzelanie z broni dowolnej na 400, 600 i 800 metrów i z pistoletów automatycznych rozgrywało się w Challons sur Marne; strzelnica w Mourmelon le Grand.

Polskim strzelcom przewodził pułkownik sztabu jeneralnego W. Marjański, zamiłowany strzelec i myśliwy, zarazem zawodnik. Z ramienia Związku strzeleckiego wystąpił major rezerwy Kierzkowski, również dobry fachowiec, a co ważniejsze — zamiłowany. A składali drużynę: por. Borzemski, mistrz polski z broni dowolnej, por. Kowalczewski, mistrz Lwowa z broni dowolnej, kpt. Gościewicz, mistrz pistoletu, kpt. Brożek, por. Waszkiewicz i kapr. Świątek.

We Francji ściśle rozgranicza się strzelanie sportowe z broni dowolnej, od strzelania wojskowego z broni wojennej. Broń dowolna jest zawsze bronią precyzyjną, specjalną z wszelkiemi dopuszczalnemi udogodnieniami i specjalną amunicją, wobec której broń wojenna zwykła nie ma szans.

O broni polskiej pisze korespondent „Kur. Warsz.", Dr. St. Polakiewicz:

Nasza drużyna, nie mając wcale porzednich doświadczeń, zaopatrywała się wyłącznie w broń wojenną i to tak w karabiny, jak pistolety. Mauzery polskie, wyrobu polskiej fabryki karabinów, okazały się jako broń wojenna pierwszorzędnemi i znalazły uznanie znawców, ale wobec broni dowolnej innych narodów nie mogły się ostać.

Oto główne różnice w poszczególnych rodzajach broni:

Karabiny dowolne. Mauzery polskie: opust cyngla przy 2.5 kg. nacisku, muszki i celowniki bez osłon skupiających światło dla lepszego mierzenia, celowniki bez urządzeń do korygowania derywacji strzałów, wywołanej wiatrem, bocznem światłem, lub zasadniczem znoszeniem karabinu w bok. Lufy względnie cienkie, a zatem łatwo ulegające rozgrzaniu, co psuje dokładność strzału. Cała broń zamało ciężka ulega drganiom ręki. Łożyska nieruchome, jednako musi się ich używać w pozycji stojącej, klęczącej i leżącej. Amunicja wojenna, kule lekkie o mniejszej chyżości początkowej, na czem cierpi dokładność strzału, poza tem lekki nawet wiatr znosi je w bok. Broń dowolna, używana przez zwycięskich amerykan i francuzów, fabrykacji Springfield. Opust cyngla przy 2—3 gramów nacisku za pomocą przyśpiesznika, lufa grubsza, celownik do regulowania; łożysko ruchome do regulowania za pomocą śrub na każdą pozycję, klęczącą, stojącą i leżącą. Amunicja specjalna w puszkach lutowanych, chroniona przed działaniem powietrza, kule ciężkie o wielkiej chyżości początkowej, co zwiększa celność.

Karabinki małokalibrowe: por. Borzemski przywiózł ze sobą karabinek Browninga, leciutki, lufa grubości palca, muszka i celownik zupełnie zwyczajne, opust cyngla ciężki, jakich przeważnie używa się u nas w kraju na konkursach. Tutaj używane: waga ponad 10 kg., wskutek czego brak reakcji na drgnienia rąk, lufa o przekroju dochodzącym do 33 mm. (!) w dodatku jeszcze karbowana dla zwiększenia powierzchni promieniowania ciepła, byle tylko precyzja strzałów późniejszych nie ucierpiała, muszki w osłonach dla skupienia światła, przed celownikami dioptry, chroniące oko przed rozpraszaniem światła na boki, opust cyngla 2—3 gramy.

Regulamin przy pozycji stojącej i dowolnej zabrania używania podpórek stałych i nasi strzelcy całkiem poprostu bili z wolnej ręki. Ich przeciwnicy tak w broni dowolnej, jak i przy karabinkach posługują się pasami, któremi połączone są obie ręce z karabinem poprzez kark i plecy, tak, że broń leży jak w imadle ślusarskiem, podstawkami umieszczonemi pod łożem broni, które utrzymują ją w płaszczyźnie pionowej, bądź też, conajmniej, opierają łokieć o ładownice, umieszczone na pasie.

Jeśli zatem Drohojowski bez tych znakomitych środków pomocniczych i bez tej broni zrobił z karabinku 367 p. na 400, ile mógł osiągnąć w takich warunkach.

W ogólności przekonano się, że obok oka dobrego, ma na konkursach międzynarodowych znaczenie główne jakość broni, amunicji i te środki pomocnicze.

Wyiki ogólne były następujące:

W piątek, 27-go czerwca, zakończono walkę drużynami, strzelaniem na 800 m. 1) Stany Zjedn. 206 p., 2) Francja 187 p. 3) Haiti 186 p., 4) Szwajcarja 183 p., 5) Finlandja 181; 6) Danja 176.

Strzelanie indywidualne na 600 m. dało wynik: 1) Fisher, Stany Zjedn., 95 p.; 2) major Osburn, Stany

Zjedn., 95 p.; 3) Larsen, Danja, 93 p.; 4) major Stokes, Stany Zjedn., 92 p.; 5) Augustin, Haiti, 91 p. i t. d. Por. Kowalczewski 68 p.; por. Borzemski 66 p.; 63 por. Waszkiewicz 64 p.; 65 kapral Świątek 62 p., na 73 uczestników.

W sobotę, 28-go czerwca, strzelano z pistoletów automatycznych. Odległość 25 m. Tarcze ruchome, 6 strzałów na 10 sekund. Wynik: 1) Bailey, Stany Zjedn. 18; 2) Carlberg, Szwecja, 18; 3) Hanelius, Finlandja, 18; 4) Amaya, Argentyna, 18; 5) Osinalde, Argent., 18; 6) de Castelbajac, Francja, 18; 7) Sorlin, Finlandja, 18; 8) Lilberg, Norwegia, 18. Ośmiu strzelców którzy osiągnęli tę samą liczbę punktów, rozgrywało się potem o miejsca. Tutaj odnieśliśmy nasz pierwszy względny sukces na igrzyskach, gdyż por. Borzemski zrobił 17 punktów, a więc o jeden mniej od zwycięzcy. Razem z nim osiągnęło tę samą liczbę jeszcze jedenastu innych strzelców, ale na 54 zawodników jest i to pięknym wynikiem. Zwłaszcza wobec nadzwyczajnych pistoletów Colta, których używali inni konkurenci. Por. Kowalczewski i pułk. Marjański mają po 16 punktów z siedmiu innymi strzelcami, kpt. Gościewicz 12.

Ze Stowarzyszeń Łowieckich.

Włocławskie Koło Polskiego Związku Myśliwych z powodu nadmiernych podatków od terenów łowieckich, przewyższających 10-ciokrotną dzierżawę, a nałożonych przez gminę — wstrzymało w roku 1924 polowania na wszelką zwierzynę w lasach państwowych, dzierżawionych przez Koło.

Zarząd Wojskowego Towarzystwa Łowieckiego w Warszawie zawiadamia, że na zwyczajnem Walnem Zgromadzeniu Towarzystwa w dniu 12-ym kwietnia r. b. dokonane zostały wybory do Zarządu i Komisji rewizyjnej Towarzystwa, przyczem zostali wybrani: a) do Zarządu: gen. bryg. Dr. Gorecki Roman — jako prezes, pułk. Przezdziecki Wacław i pułk. Buckiewicz Antoni jako zastępcy prezesa, mjr. Dr. Mackiewicz Konrad jako łowczy, mjr. Dr. Polkowski Kazimierz jako zastępca łowczego, mjr. Rybicki Tomasz jako sekretarz, kpt. Wendorff Stefan jako skarbnik, płk. Dr. Sikorski Bronisław, mjr. Sosabowski Stanisław, kpt. Czajkowski-Wanat Mieczysław i kpt. Korcywo Władysław jako członkowie. b) do Komisji Rewizyjnej: gen. bryg. Dr. Krzemieński Jakób jako przewodniczący oraz płk. Dr. Kamiński Tadeusz i ppłk. Surmacki Władysław jako członkowie, a płk. Czempliński Bolesław i mjr. Hertel jako zastępcy. Delegatami Wojskowego Towarzystwa Łowieckiego do Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich będą pp. pułk. Przezdziecki Wacław i pułk. Buckiewicz Antoni.

W d. 3 maja r. b. odbyło się Walne Zgromadzenie **Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa „Djana" w Zawierciu.** Na przewodniczącego zaproszono p. Rudigera, na sekretarza p. A. Fitala. Po przeczytaniu przez sekretarza Tow. i przyjęciu przez Zgromadzenie sprawozdania z działalności oraz kasowego, a także z rezultatów na polowaniach zbiorowych, przyjęto wniosek o zmianę § 8 Statutu Towarzystwa (w sprawie przyjmowania kandydatów na członków). Na miejsce ustępujących według Statutu członków Zarządu oraz ich zastępców oraz jednego członka Kom. Rewizyjnej przyjęto jednogłośnie: na członka Zarządu p. H. Troussier, na zastępców pp. Józefa Wodzinowskiego i Jana Suchodolskiego, na członka Kom. Rew. p. Aleksandra Steinhagena, a na gospodarzy łowieckich pp. A. Siemiczka i Z. Sowińskiego. Przyjęto budżet na rok bież. w sumie 7000 zło., przyczem oznaczono roczną składkę od członków rzeczywistych na 140 zlp., od członków popierających na 10 zpł., wpisowe na 50 zlp., za wprowadzenie gościa na polowanie zbiorowe lub pojedyńcze na 50 zlp. Przewodniczący zwrócił się do kierowników polowań oraz do wszystkich członków Tow. o nadsyłanie sprawozdań z wyniku polowań, gdyż te są niezbędne do prowadzenia statystyki. Zwrócono też uwagę na liczne wypadki niestosowania się do regulaminu polowań (schodzenie ze stanowisk, przedwczesny strzał do zwierza przed sąsiadem, głośne zachowanie się na stanowiskach, dobijanie zwierzyny w sposób nielicujący z etyką myśliwską i t. p.), co p. przewodniczący surowo napiętnował. Prośbę p. Z. Sowińskiego o ścisłe oznaczanie dnia przyjmowania zapisów w planach polowań na zające p. przewodniczący obiecał poprzeć.

Drobiazgi myśliwskie.

Świętochowski o podatku myśliwskim. Mistrz słowa polskiego i wielki myśliciel A. Świętochowski w swem „Liberum Veto" zamieszczanem stale w „Gazecie Warszawskiej" napisał: „Świeżo opodatkowano prawo polowania taką opłatą, że jej nie podoła żadne gospodarstwo. Ucieszyli się tego niezmiernie kłusownicy, którzy nic nie płacą ani za trzymanie broni, ani za polowanie i którzy teraz będą mieli większą obfitość zwierzyny. Ponieważ zaś na dziesięciu mieszkańców wsi conajmniej jeden trudni się potajemnem myślistwem, więc oni sami nie wymyśliliby dla siebie przyjemniejszej ustawy. Jest to objawem charakterystycznym, że nasza administracja, która znajduje sposoby wyśledzenia najstaranniej ukrytych groszów dla zabrania ich dla Fiskusa, nawet nie próbuje odebrać kłusownikom nieprawnie posiadanej broni, z którą jawnie uwijają się po polach i lasach, o której wie każdy sołtys, wójt gminy i policjant. Dzieje się to prawdopodobnie skutkiem działania „po linji najmniejszego oporu". Płatnik podatkowy odda dobrowolnie wszystko, czego Fiskus zażąda, a kłusownika trzeba poddać rewizji, doknywanej zwykle przez jego przyjaciół."

Z dawnych polowań. W wydawnictwie Polsk. Towarzystwa Krajoznawczego p. t. „Historja Warszawy" w zeszycie VI p. t. „Warszawa w czasach saskich" przez Kazimierza Konarskiego, znajdujemy następujący szczegół (str. 25): „Polowania saskie urządzano z niebywałym nakładem. W r. 1724 odbyło się takie polowanie w Marymoncie. 4000 chłopów zwołano do naganki. „Panów i paniczów, czytamy w opisie, było 200, strzelców 700; damy w amazonkach, jedne z altany przypatrywały się, inne z myśliwymi uganiały się po lesie. Zebrane z różnych knieci zwierzęta puszczono w tym dniu do Bielan, jako to: 44 jelenie, 200 sarn, 80 dzików, 4 żubry i zające coniemiara".

W r. 1761 urządzono w ogrodzonem odpowiednio terytorjum Łazienek i Ujazdowa podobne polowanie, gdzie padło znów 8 łosiów 3 niedźwiedzie i t. d.

Kalendarz myśliwski.

W sierpniu wolno jest polować, o ile uprzednio nie wyszedł dekret ministerjany (dla b. Kongresówki), dekret wydziału obwodowego (dla b. Zaboru Pruskiego), lub włady powiatowej (dla Małopolski).

W b. Kongresówce: na łosie (byki) od 16-go sierpnia, na jelenie (byki) i daniele (byki) od 16 sierp- (od 21-go sierpnia), na słonki, na dzikie kaczki i gęsi, na łabędzie, na żórawie, na siewki, na dubelty, kszyki i bekasiki (ficlarzy), na derkacze, na batal jony, na kuligi, na dzikie gołębie. Na drozdy (paszkoty i kwiczoły) można polować od 16-go sierpnia.

W b. Zaborze Pruskim: na jelenie (byki), na daniele (byki), na rogacze, na dzikie kaczki, na bekasy, na dzikie łabędzie, na żórawie, na kuligi, na derkacze oraz na wszelkie ptactwo błotne i wodne z wyjątkiem dzikich gęsi (?).

Na Kresach (według ustawy „Zakon ob ochotie 3 fewrala 1892 goda"): na łosie-byki (od 16-go sierpnia), na jelenie-byki, na rogacze, na cietrzewie, na głuszce, na słonki, na dzikie gęsi i łabędzie, na dzikie kaczki, na

bekasy, dubelty i bekasiki, na kuligi i czajki, na bataljony, na chróściele i na wszelką inną zwierzynę błotną, na kuropatwy (od 16-go sierpnia), na jarząbki, na pardwy (białe kuropatwy), na dropie, na strepety i na przepiórki.

O monografję lisa.

Współpracownik nasz, piszący pod pseud. „Rom.", p. Jerzy Dylewski, zbiera obecnie materjały do napisania monografji lisa i w tym celu zwraca się za naszem pośrednictwem z uprzejmą prośbą do Kolegów-Myśliwców o łaskawe nadsyłanie wiadomości z życia tego drapieżnika pod adresem: Jerzy Dylewski — Siedlce — ul. Ogrodowa 10.

Odpowiedzi Redakcji.

P. Stef. Ostrowskiemu, Dąbrowa Górn.: 1) Trwałość zamknięcia zależy głównie od dobrego spasowania haków, nie zamków. Górne zamknięcie Purdey'a, czy Greenera ma daleko mniejsze znaczenie, i taki pierwszorzędny puszkarz, jak np. Holland-Holland górnego zamknięcia wcale nie stosuje.

2) Birmingham Schall Arms Co. jest to fabryka produkująca masowo rowery, narzędzia i tanie bronie, które wyglądem i robotą nie mogą dorównywać belgijskim broniom wyrabianym również maszynowo.

W. Słończyński.

—0—

ZA REDAKTORA: Wład. Słończyński. WYDAWCA: Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich.